TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 6. *Chicago, Ills., 5 Sierpnia, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

— Ah! kochana nasza Marynia, — rzekła podkomorzyna — jest tak, skromna i tak dobra, że ona tylko dobre naśladować umie, a złego nawet nie widzi.

— Moja Mościa Pani, — odpowiedzial jej Ruszczyc, — złe tak jest rażące, że choćbyś żelazną przyłbicę na oczy zasunął, to go jeszcze spostrzeżesz.

Powstał podkomorzy, jakby sobie przypomniał opuszczenie starego zwyczaju, a w duszy rad temu że znalazł sposobność przerwania nieprzyjemnej rozmowy; sięgnął przed siebie posrebrny półmisek, na którym Narodzenie Chrystusa Pana w płaskorzeźbie na cienkiej blasze odbite było, zdjął z niego opłatek i z tym do Ruszczyca się obrócił. On zajętą mając myśl czem innem, nie domyślił się do razu przyczyny powstania podkomorzego, spojrzał zdumiony na niego, lecz spostrzegłszy ofiarowany sobie opłatek, zerwał się szybko z krzesła, odstawił je

przeżegnał się, złamał opłatek z podkomorzym i następnie go z wszystkimi innymi podzielił. Po skończeniu tego obrzędu, przy którym ks. pleban powtórnie jeszcze wszystkim błogosławił, zajęto miejsca i z upragnieniem ludzi niezwykłych tak późno jadać obiad, migdałowej chwycono się polewki. Gdy spoczęto po tej pierwszej napaści na zastawiane jedzenie, zapytała podkomorzyna:

— Czy dawno król do Krakowa przyjechał? to musiał być piękny widok kiedy on wjeżdżał do tej starodawnej stolicy.

— Zapewne — rzekł ponuro Ruszczyc.

— Alboż to pan rotmistrz tam nie był?

— Nie — odpowiedział, — pozbawiłem się zaszczytu dzielenia tryumfów królewskich, aby prędzej oglądać tę której niestety nie zastałem.

— A czy pan rotmistrz — zapytał podkomorzy — byłeś przy skonaniu naszego nieodżałowanego podskarbiego?

— Byłem — rzekł smutno Ruszczyc, — i zda mi się, jakbym go widział jeszcze. /Król wysłał go był z rozkazem do wielkiego hetmana; mijał właśnie pędem nasze hufce, gdy postrzał z działa ubił pod nim konia i jemu nogę prawą urwał. Nie mógłem natychmiast nadbiedz mu z pomocą, bo obowiązek kazał iśc naprzód; lecz nazajutrz po wygranej żył jeszcze. Był on w namiotach królewskich złożony, poznał mię, ścisnął mi rękę, polecił mojej opiece Maryą córkę....

Tu przerwał nieco mowę, bo mocno był rorzewniony, a po chwili milczenia dodał ponuro:

— Ale mi nic o tem nie mówił, aby Maryą do dworskiej służby przeznaczał.

Zapłakała podkomorzyna i milczała a mąż jej, chcąc inny dać obrót rozmowie, aby Ruszczyca od głównego przedmiotu odwieść, rzekł:

— Kiedy mówimy o poległych, co teżto tu baśni po kraju chodziło o różnych; wszakżeto w całej okolicy mówiono; że i nasz pan rotmistrz bissurmańskich pocisków nie uszedł. Ale to dobry, jak mówią, omen, bo temu długie życie wróżą kogo zawczasu grzebią.

— Możeby to i było dobrze nie dla jednej przyczyny, — odpowiedział Ruszczyc.

Nie mogąc tą drogą pokonać złego humoru Ruszczyca, i gdy już ryb danie zjedzone było, kiwnął podkomorzy na piwnicznego, wskazał mu znajomym znakiem na palcach, jakiego wina i kielicha miał podać, wziął podany do ręki, i kazawszy po brzegi napełnić, rzekł:

— No, mój Mości Rotmistrzu, dopełnijmyż obowiązku dobrych Polaków, wiernych i życzliwych poddanych najpotężniejszego króla i spełnijmy jego zdrowie!

— Runęły krzesła, wszyscy powstali, podkomorzy pił duszkiem lecz zwolna, bo butelka poważną siwizną pokryta była; wypiwszy przewrócił kielich dnem do góry na znak, że nic w nim nie zostało, wziął brzeg jego przez serwetę, podał go rękoiścią Ruszczycowi, który stojąc poważnie podczas pierwszego spełnienia, podtarł był sobie wąsy gotując się do naśladowania danego przykładu, przyjął z affektem ofiarowany kielich i rzekł, napełniwszy go winem:

— To zdrowie i przy skonaniu duszkiembym spełnił. Niech żyje Jan III! — i w mgnieniu oka suche dno puhara ujrzano. Ksiądz pleban odebrał kielich, a podkomorzy ścisnął uprzejmie rękę Ruszczycowi, i nie chcąc mu dać chwili spoczynku, któraby przykre myśli wznowiła, wziął inny kielich do ręki i powstawszy zawołał:

— Księże Proboszczu, w ręce twoje. Wiwat waleczny nasz pan Rotmistrz!

— Hola! — przerwał tenże zatrzymując rękę podkomorzego z pucharem — to się nie godzi: u nas po królu wiwat damy, zwłaszcza kiedy przy stole hetmana nie ma; a ponieważ nie mogę niestety in plurali, więc niechże mi się godzi przynajmniej spełnić zdrowie Jejmość Pani Podkomorzyny.

— I nieobecnej także — dodał podkomorzy — jeżeli Pan Rotmistrz tak sobie życzy koniecznie, lubom ja te zdrowia na później rezerwował; ale „bis repetita placent."

Udał się wybieg gospodarza domu: wino marszczało coraz bardziej czoło naszego bohatera, wzdychał już tylko głośno kiedy niekiedy, rzadziej wmięszał słowo tęsknotę jego malujące, i po spełnieniu powtórnem zdrowia nieobecnej Maryi rzekł dopiero z niejakim żalem:

— Mój Boże, czemuż to tej tu niemasz! złożyłbym u jej stóp kosztowne sobole, dywdyki i pasy niewieście dyamentami wysadzane, jakie Turcy, znać dla dam wiedeńskich, których się dostać spodziewali, mieli przygotowane, któreśmy z okupem krwi naszej w wezyrskich namiotach zdobyli.

— No, mój Mości Rotmistrzu, — przerwał podkomorzy — kiedyśmy już u namiotów we-

zyrskich stanęli, opowiedz nam też twoję sławną wyprawę, o której tutaj tak niedokładne mieliśmy wieści.

— Ja tego zwykle nie opowiadam nikomu — rzekł Ruszczyc — bo „propria laus sordet," i mnie z tego tyle tylko przychodzi zaszczytu, żem wypełnił co mi król, pan mój, zlecił, i żem pokazał przecież Niemcom, co polska szabla może; ale kiedy tego chcecie koniecznie, więc wam opowiem co i jak się stało.

— Gdyśmy przebyli Dunaj i z elektorskiemi połączyli się wojskami, zwołał król do swego obozu samychże Elektorów i przedniejszych jenerałów i ochoczo ich potraktował, każdemu z Elektorów po koniu bardzo pięknym i bogato przybranym darował. Potem wyszedłszy przed namioty, zapytał ich się:

— A nie macie Waćpanowie języka nieprzyjacielskiego od podjazdów waszych?

Aż Elektorowie odpowiadają: —

— Jakże my mamy posyłać podjazdy, kiedybyśmy przez to jeżeli nie wszystko, to przynajmniej z połowę wojska stracili. — Jak to być może? zapytał król z podziwieniem. — Oto, odpowiedział generalissimus, posłaliśmy jednego jenerała z trzema tysiącami dragonii na podjazd, a nie wrócił się tylko kapral z kilką żołnierzy salwując się ucieczką, drudzy wszyscy zginęli potkawszy się z pięciuset tylko Turkami, do których im i wystrzelić nie przyszło. — Na to obejrzal się król po nas wszystkich Polakach, cośmy za nim przy namiocie stali i spostrzegłszy mnie kiwnął na mnie palcem, na znak żebym się przybliżył, a gdym przed nim stanął, rzekł do mnie w te słowa:

— Panie Ruszczyc, weź Waszeć sobie sto koni dobrych z przedniejszej straży, bo pojedziesz na podjazd.

A potem obróciwszy się do hetmana wielkiego koronnego. Sieniawskiego, dodał:

— Każ mu WPan dać ordynans i surowo przykazać aby się o języka starał, albo jeżeli nie dostanie, niechże raz w ciele swojem przywozi, a niechaj się wraca we dwudziestu czterech godzinach, bo ta rzecz odwłoki nie cierpi.

Znowu się do mnie król obrócił i mówił: —

— Przyjedziesz tu wprzód przed namiot z tymi ludźmi, żebym ja ich widział.

— Krzątnąłem się co ducha koło wyszukania towarzyszów do tej niebezpiecznej wyprawy, nie chciałem wiele przebierać, bo i czasu nie było i wszystko jedno który mi się nadarzył, byle silny i Polak, boć przecie taki i brata i króla nie odstąpi w potrzebie. Skorom ich zgromadził, zajechałem z nimi przed namiot królewski, gdzie jeszcze Elektorowie byli, którzy wyszedlszy i przypatrzywszy się mnie i moim ludziom ciekawie, poczęli sobie szeptać i mówić:

— Na zgubne imię ten król tych ludzi posyła pod tak wielkie wojsko.

Inny mówił:

— Nasz podjazd we trzy tysiące poszedł a zginął; żal się Boże tych ludzi, a najbardziej tego komendanta.

— Jam na to nie zważał, przeżegnałem się, pocałowałem mój cudowny obraz matki Bozkiej, i ruszyłem naprzód ufny w Bogu i w dobrej sprawie. Było mil kilka do pogan, zmroczyło się dobrze nimem do nich mógł natrafić. Ażci przecie przednie czaty moje dają mi znać, że chmara tego zaległa w dolinie, do której się spuszczaliśmy. Nie ma czasu ich liczyć, rzekłem, czy wiele czy mało, trzeba na nich uderzyć i porwać im kilkunastu, aby pokazać Niemcom, że sto Polaków przed tysiącem nieprzyjaciół nie ucieka. To rzekłszy, spuściłem się pocichu z góry i spostrzegłem kilkanaście ognisk szeroko po ciemnej dolinie zatlonych. Oni tu dużo pola zalegli, pomyślałem sobie, ale nim się wszyscy zgromadzą, to ja już będę z ich językiem u mego króla; i nie chcąc czasu tracić, rzuciłem się na oślep tam gdzie ich najgęściej było, nie kazałem dawać ognia, lecz tylko kłuć, rąbać i porywać co się dało, a gdyśmy ich ujęli trzynastu, rozkazałem wziąść ich w środek między nas, i spiesząc na odwrót, dawać ognia z tyłu i z przodu na nacierających na nas zewsząd Bissurmanów. Konie mieliśmy dzielne, to było szczęście nasze. Kopie i szable utorowały nam po trupach drogę do wąwozu, po którym byliśmy zeszli, a gdym się do niego dostał, puściłem namiestnika mego naprzód, a sam wziąwszy straż tylną, rzekłem sobie:

— Tu mi już ich i sam djabeł nie odbierze. Tak się też stało, bo nam nikt z przodu drogi nie zabiegł, a z tyłu niedługo już na nas nacierali. Nazajutrz koło południa stanąłem w obozie naszym. Król wyszedł z namiotu, obejrzał nas i Turków, i rzekł do mnie:

— Ruszczycu! dobrześ się sprawił; poczekasz Waść tutaj aż po Niemców poślę, ażeby widzieli, żeście cali z językiem powrócili.

— Jakoż przyjechali niedługo elektorowie i jenerałowie, jak na jakie dziwowisko, widzieć Turków trzynastu związanych jak baranów i nas wszystkich obryzganych, obszarpanych, porąbanych ale całych jeszcze. Chodzili koło nas i koło nich założywszy ręcę, kiwając głowami rachowali kilka razy i pogan i nas Polaków, jakby to co dziwnego było, żeśmy ocaleli wszyscy, kiedy tak Pan Bóg dopuścił.

Skończył rotmistrz; wiele jeszcze rozmawiano o pamiętnej wyprawie, aż gdy przy spóźnionej chwili oznajmił pleban, iż czas było udać się na mszę pasterską, na którą wszyscy od stołu do kaplicy zamkowej poszli.

ROZDZIAŁ VII.

Niedawnom zwiedzał dom . . . .
Ledwie go poznać mógłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Diedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła,
Jak na cmentarzu północ, milczenie do koła!

Mickiewicz.

Nasz rotmistrz dłużej zabawił w domu Podkomorstwa, jak sobie był założył w pierwszej chwili dowiedzenia się o odjeździe Maryi. Święta Bożego narodzenia, których na podróży strawić nie wypadało, przyjacielska zażyłość z podkomorzym, goście którzy się trzeciego dnia zjechali, aby wiedeńskiego bohatera i oglądać i pozdrowić, obiad solenny u pana kasztelana, czwartego dnia dla niego dany; wszystko to zatrzymało go na miejscu dłużej, jak niecierpliwość jego domagania się u króla uwolnienia Maryi od obowiązków, pozwalać się zdawała. Nakoniec odmówił już wszelkie zaprosiny, pożegnał się z gospodarstwem wieczorem przy rozejściu się na spoczynek, i postanowił nazajutrz przede dniem wyjechać.

Jeszcze się wojny, zasadzki i zwycięztwa po uśpionym umyśle Ruszczyca uwijały, kiedy wierny Kulik po trzeciem zapianiu koguta, z rozpaloną drzazgą wszedł do jego pokoju, rozniecił sążnisty ogień na wysokim kominie, w samym rogu izby umieszczonym, i blaskiem jego ociężałe jeszcze powieki Ruszczyca przeraził. Chrząchnął mocno i rzekł:

— A co tam na dworze? — Śniegi spadły ogromne i to jeszcze z zawieruchą, w opłotkach wszędzie zawalone, ja od stajni ledwom się tutaj przekopał i oto jeszcze znać jak go wysoko było.

Przytem trząsnął kożuchem, a śnieg i z poły i z wysokich pod kolana butów na podłogę sypać się zaczął.

— To źle, a jakże my pojedziem; jeżeli są duże zamiecie, to karabanem nie przejedzie.

— O! ja już o tem pomyślałem; wstałemci ja jak pierwszy kur zapiał, a widząc przy księżycu co się dzieje na świecie, pomyślałem zaraz, że trzeba będzie sani pod nasz karaban i jużem się tego wystarał. Niech tylko Pan rotmistrz wstanie bo to dzień krótki, a trzeba dobrze jechać, żeby jutro za dnia ściągnąć do domu.

— Do domu? — zawołał Ruszczyc — co ci się znowu przyśniło? ja prosto jadę do Krakowa.

— Ej, niech tam licho weźmie Kraków, i wszystkie obce kraje — odparł Kulik odwracając się z niechęcią do komina, — mnie się już ta bujaczka po świecie uprzykrzyła; czasciby było już wrócić do domu i obaczyć co się tam dzieje.

— Tak ci się zdaje? No, ale my dla tego pojedziemy do Krakowa, bo mi tam pilniej jak do domu — mówił Ruszczyc, zerwał się z posłania i zawołał na Kulika, który z widoczną niechęcią zwykłe obowiązki służby swojej wykonywał.

Po pewnej chwili było już wszystko gotowe do odjazdu; dawszy konie powodowe do prowadzenia luzakowi, pełnił Kulik w tym dniu obowiązki woźnicy; i w gniewie o niepomyślny kierunek podróży, zapomniał nawet biczem zwyczajny krzyż przed końmi zrobić, nim właściwe sobie miejsce na saniach zajął. Obwinąwszy się w kożuch i burkę rzucił się Ruszczyc do woza, w zamiarze dopełnienia miary snu zawcześnie przerwanego.

Księżyc świecił jeszcze w całej okazałości; skrzyły się pod jego promień spoglądając, zmarzłego śniegu igły; skrzypiały sanie i ze świstem ślizgały się po śniegu tam, gdzie zamieci nie było, a gdzie na kopną sannę natrafiono, tam z oporem tor pierwszy znaczyły sanie, a śnieg przez gwałtowne rzucanie się koni wzruszony w przezroczystym kurzu pryskał na wszystkie strony. Od północy ciągnął wiatr ostry, mroźny i szrony niosący, że nozdrza u koni, wąsy u ludzi zlodo-

waciały. Gdzie niegdzie po chatach palił się już jasny ogień, którego blask oknem rzucony w zaspach śniegu połyskał; kłęby dymu wznosiły się w górę i nikły w zimnym przestworze. Cicho jeszcze było wszędzie i psy po nocnem czuwaniu, szukały schronienia pod dachęm; niedługo dzwon parafialny głucho do rannych pacierzy pobożnych budzić zaczął.

Już do drugiej wioski dojeżdżano, kiedy Kulik raptem konie zatrzymał.

— Na wieki! — zawołał z niechęcią, — a czy ciebie tu licho nadało? Ot będzie podróż dopiero.

— Cóż tam takiego? — zawołał zrywając się przebudzony Ruszczyc.

— Baba! — krzyknął z niechęcią Kulik, — jeszcze mi: Niech będzie pochwalony, powiedziała.

— Głupiś, jedź dalej, nie zważaj na nic — mówił Ruszczyc rzucając się znowu na posłanie i okrywając się burką.

— Ale, nie zważać, wiemci ja co to znaczy kiedy djabeł na człowieka w podróży będącego najpierwej babę wyśle; niechby ich potem było na drodze jak maku, byleby najpierwej baby nie spotkać; żeby to był chłop, albo żyd przynajmniej.... Otóż masz, wszakżem mówił, przeklęta baba.

Tak mruczał Kulik, a mrucząc nie uważał na rów, wjechał w niego jedną sanicą, wywrócił, i pana swego w śnieg wyrzucił. Gniewał się i łajał Ruszczyc, a Kulik podnosząc sanie ciągle utrzymywał, że to nie jego wina i że jeszcze więcej tak będzie.

Gdy wszystko podniesiono i do dawnego trybu przywrócono, trafiła się szersza droga i tor znaczniejszy, tak dalece, że kawał drogi bez żadnej przygody przebyto, nim się dobrze rozwidniło. W ciągu spiesznej jazdy zatrzymał Kulik powtórnie konie, porwał za muszkiet przy sobie stojący i strzelił.

— A to znowu co? — krzyknął Ruszczyc zrywając się szybko.

— A cóż? ten sam djabeł co i wprzódy, — odparł Kulik z flegmą złażąc z sani.

— Jak to, baba? i tyś do niej strzelił?

— Nie baba, ale djabeł w postaci zająca, który nam przebiegł drogę, a ja jeszczem go nie zabił. Nie, Panie! dalej po tej drodze jechać nie można, bo nam się nic nie powiedzie — mówił Kulik, i wcale się do dalszej jazdy nie zabierał.

Zamyślił się nieco rotmistrz zdziwiony zbiorem fatalnych przypadków, które mu się na drodze trafiały, i patrzał w milczeniu na Kulika, który założywszy ręce odwrócił się ku koniom, jakby chciał przez swoję postawę oznajmić że dalej nie pojedzie.

— Ej nie zważałbyś na babę i na zająca, — rzekł Ruszczyc po chwili, — kiedyśmy z tylu nieszczęść ocalelі, to nam się i tutaj nic nie stanie. A czy nam to jeden zając przebiegł drogę, kiedyśmy szli na jaką wyprawę?

— I cóż z tego? — odparł Kulik, — tam mieliśmy do czynienia z wojskiem i to jeszcze z poganami, a teraz przychodzi nam mieć sprawę z kobietami, tam Pan Bóg dopomagał, a tu djabeł babami na przeszkodzie stać będzie. Jakem poczciwy i stary sługa pański, tak nie pojadę dalej. Oto — zdejmując czapkę i kłaniając się do nogi –– zawróćmy lepiej i jedźmy do domu, a możeć da Pan Bóg, że później na jaką szczęśliwszą godzinę trafimy; a prócz tego, ja dalej drogi nie wiem. Pan śpi a ja jadę, trakty zawiane; od tej figury na prawo droga do domu, tę znam dobrze, ale jak jechać po zamieciach do tego Krakowa, kto tam trafi? Toć przecież lepiejby było wypocząć dni parę, a potem.... Ej Panie, niech się Pan da ubłagać....

Z uśmiechem patrzał Ruszczyc na Kulika, a potem zwrócił oczy na drogę w wąwozie śniegiem zasypaną; zamyślił się nieco i rzekł:

— Nie wierzęć ja w twoje złe wróżby, ale kto wie, jakby to wypadło, gdybym zbyt żwawo chciał się dopominać swego; sprawa z królem.... droga bardzo zawiana, za dni kilka, ochłonę i pojadę.

Nastąpiła chwila milczenia, po której dodał:

— Zawróć, pojedziemy do domu.

Ochoczo skoczył Kulik na sanie, zaciął konie, żwawo pożądaną drogą naprzód ruszył, i dla okazania wesołości swojej, zaczął śpiewać znaną wówczas w wojsku piosnkę, z następującą zwrotką:

Któż i Wiedeń obronił
I Bissurmanów wygonił?
Jan to trzeci, nasz król Pan,
W całym świecie z szabli znan.

Już się drugiego mroku w podróży doczekali, gdy wśród zawieruchy i gęstego śniegu,

ujrzeli przecież z daleka światłe okienka dziedzicznej Ruszczyca wioski.

— Ot jest, chwała Bogu! — krzyknął radośnie Kulik, — nasza wioska: jeszcze się w jednej chałupie u Bartka świeci; oto figura na rozstajnych drogach, ale się trochę nachyliła. — A, nie ma wiatraka, albo się spalił, albo go wiatr wywrócił: mój Boże, co się też z poczciwym Walkiem młynarzem stało. — Oto już kościół i plebania, i w karczmie już nie świecą i u Bartka już ogień przygasili. Hej chłopy! żebyście wiedzieli, że wasz Pan jedzie, tobyście pewnie tak nie zasypiali; szkoda że niema dzwonków i harapa, tobym przecie z trzaskiem przede dwór mógł zajechać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

(Ciąg dalszy.)

— Czwarta była poruchliwa, za łakociami przepadała. Śmietanki, masła, słoniny, ani jej pokaż, bo już nie twoje, istny szkodny kot, jajka by ulała. Raz poszłam naprzeciw mężowi, który miał czynność w polu; w drodze oglądam się, aż tu się kurzy z mego komina, nie leniwa wracam, wchodzę z cicha do kuchni, aż tu moja śliczna Małgosia siedzi nad potężną misą placuszków. Jak się tu nie było gniewać? A ty przebrzydła złodziejko, uciekaj na łeb na szyję! wygnałam z domu natychmiast.

— Piąta niechluj wierutny. W niedzielę to się wystroiła niby paw, ale paw w dni powszednie to istne straszydło, łachmany wiewały się na niej, gdybyś ją postawiła w pszenicę, to zaręczam, że nie tylko wróble, ale dziki by nawet bały się przystąpić. Tę przecie kazał pan oddalić, bo mówił, że mu się mdło robi, gdy ją zobaczy w bramie.

— Szósta niebaczna, z wodą dałaby była popłynąć dobru mojemu. Codzień trzeba jej było powtarzać co ona ma robić: tyle mi misek i garnków natłukła, ile dni w roku. Raz znalazłam w pomyjach cynową łyżkę, na nic ją świnie popsuły, inną razą słucham, aż tu szklankę stłukła, wpadam do kuchni, pytam, ona się zaklina i w oczy mi kłamie. Ale musiałaby bardzo rano wstać, żeby mnie okpiła. Szukam po wszystkich kątach, nie ma nic, — patrzę w pomyjach, jest szkło od szklanki. Skaleczyłam rękę, to mnie rozgniewało, wygnałam niegodzijaszkę. Boć tylko sobie zważ, a gdyby świnie były połkły kawały szkła?

— Siódma gdyby sroka gadatliwa i ciekawa. Zawsze pod drzwiami można ją było zastać, gdzie podsłuchiwała, co się mówi w izbie, co zaś usłyszała, to już cały świat wiedział. Ztąd rosły bajdy, nieporozumienia, kłótnie. Z tego była dobra, że gdy się chciało co w obieg puścić, to jej było tylko powiedzieć. Słyszysz?

ktoś brząka przy furcie, muszę iść. Jutro niedziela, to ci resztę dokończę, jakie to ja miałam sługi, a to dla tego, żebyś się strzegła podobnych niegodziwości.

Wyszła, a Róża myślała sobie iż pani, jak w rzeczy samej było, przesadza w swych opisach, najmniej jest upoważnioną sądzić kogoś o gadatliwość, bo sama pleciuchowa. Mniemała przytem i to słusznie, że aby rzecz sprawiedliwie osądzić, trzebaby wprzód te wszystkie sługi wysłuchać, coby one na swą powiedziały obronę. Z tem wszystkiem pomyślała sobie, gdyby sługa choćby tylko dziesiątą część od tego wszystkiego popełniła, zasłużyłaby na słuszną naganę, a gospodyni rządna, lubiąca porządek, ochędóztwo i pracowitość, nie mogłaby takich sług pochwalać. Na tym osadzona fundamencie, postanowiła sobie strzedz się podobnych błędów.

W samej rzeczy, Róża stała się w krótkim czasie wzorową sługą. Służyła ona państwu swemu podług nauki Jezusa i jego Apostolów, nie dla oka, dla przypodobania się ludziom, lecz dla sumienia, jakby Bogu samemu. Cokolwiek czyniła, to z radością, wiedząc że dopełnia wolę Bożą. Była pilną w pracy i pociechą było popatrzeć się, jak się żwawo przy pracy uwijała, jak jej żwawo i zgrabnie płynęła robota. Nie było nigdy potrzeby dawać jej rozkazu dwa razy, dopełniała swego, nie czekając aż jej rozkażą; było nawet; że gdy dostała rozkaz jaki, mogła odpowiedzieć:

— To już zrobione.

Sprzęty domowe i kuchenne utrzymywała w największem ochędóztwie, izba i kuchnia zawsze były czyste, aż miło było spojrzeć. To co było własnością jej państwa, tak szanowała, jak gdyby to do niej samej należało. Z kuchennemi sprzętami obchodziła się ostrożnie, żeby ich nie uszkodzić; choć śpilkę znalazła przy zamiataniu izby, to ją pani oddała; nie przywłaszczyła sobie nawet niteczki pańskiej, a wylizywać po kątach było dla niej zgrozą. Tak umiała milczeć, że co w domu widziała lub słyszała, nigdy to przez usta jej nie wyszło. Skromność była w niej zadziwiająca; jeżeli jej się przydarzył jaki błąd, to go nie zaprzeczała, lecz prosiła o wybaczenie. Jeżeli ją pani, choć czasem niewinnie wyhałasowała, umiała w swoim czasie milczeć; a jej w takim razie ułożenie rozbrajało panią. Jakoż z czasem popędliwa ta kobieta, stała się umiarkowaną, przekonawszy się, że tu i owdzie niesłusznie Różę skrzyczała. Mąż się nawet cieszył, że jego żona odmieniła się korzystnie.

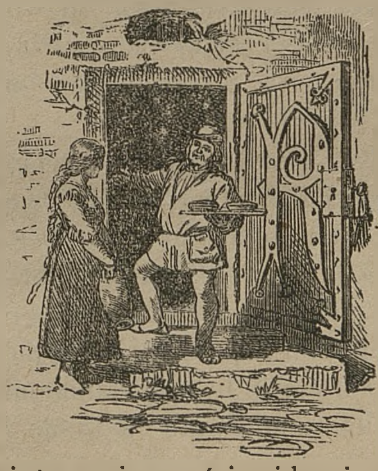
Mimo przecież tak wzorowego zachowania się, położenie Róży było bardzo przykre. Lubo w ręcznych pracach stanowi swemu przyzwoitych była nad wiek swój biegła, przecież najmniej przywykła do grubych robót, dla tego były jej też uciążliwemi. Trzeba było bardzo rano wstać, drzewa i wody do kuchennej potrzeby nanosić, izbę, kuchnię, stajnię czyścić; oczywiście, iż tej, która tego nigdy nie czyniła, nietylko ciężko było, ale nie mając w tem doświadczenia, wykonywała początkowo niezgrabnie, a przez to musiała przyjąć za miłe od swej pani nagany i nazwy nieuka, mazgaja itp. Stół był prawda bez nagany, ale nie dla takiej jak Róża, nie jedna potrawa sprawiła jej ckliwość.

Kiedy tak dzień przepędziwszy na ciężkiej pracy, a przytem tu i owdzie od swej pani wykrzyczana, przyszła późno w noc do swej komórki na spoczynek, szukała ulgi sercu swemu w modlitwie do Pana Boga. Nieraz otworzywszy okienko i wzniosłszy oczy ku gwiazdami okrytemu niebu, mawiała:

— O mój Boże, choćbyś na mnie jeszcze cięższe zsyłal cierpienia, chętnie je znosić będę, byleś tylko cierpieniom ojca mego ulżyć raczył i jam sobie u Ciebie zasłużyła uwolnienie jego z więzienia.

ROZDZIAŁ X.

Róża odwiedza swego ojca w więzieniu.



óży, chociaż upłynęło już wiele dni przykrych, nie podarzyła się żadna sposobność widzenia ojca. Bolało ją to dużo, że będąc tak blizko niego, nie miała przecież przyjemności widzenia go, lub przysłużenia się mu w czemkolwiek; pomimo że spostrzegła, iż jej pan jest zarazem i dozorcą więźniów. Nie raz sporządzone dla więźniów jedzenie polała

łzami swemi, bo wiedziała, że jedna z tych porcyj jest przeznaczona dla ojca; gdyby odgadnąć była mogła która? — zapewne byłaby ją ile możności uprzyjemniła.

Z okoliczności donoszonych więźniom pokarmów dowiedziała się przynajmniej tyle, że ojciec jej żyje. Prosiła raz swego pana, ażeby jej pozwolił widzieć też kiedy uwięzionych, ale na to odebrała naganną odpowiedź:

— Ty jesteś wścibska, jak nasza matka Ewa! Dziewczyno! im mniej wiemy, tem dla nas lepiej!

Z tem wszystkiem pewnego wieczoru, gdy jedzenie dla więźniów przygotowane miało im być poniesione, przychodzi dozorca i rzecze:

— Różo, ty pójdziesz za mną, wyjeżdżam w interesie pańskim, będę oddalony z domu cały dzień, moja żona niechętnie zastąpiłaby mnie, więc ty jutro musisz ponieść jedzenie więźniom. Żebyś wiedziała gdzie i komu co dać, pójdziesz dziś ze mną.

Oddał jej deszczkę z miseczkami, a sam wziął pęk kluczy i szli przez długi ciemny korytarz.

Dla Róży jak było to uwiadomienie z jednej strony przyjemnem, tak nagle jej objawione wzruszyło ją nie do opisania, radość i bojaźń nie mało zawichrzyły, wszakże umiejąca sobą rządzić, w pochodzie do więźniów ujarzmiła swe bijące serce. Sądziła albowiem i to bardzo roztropnie, że tu trzeba umieć panować nad sobą, żeby się nie wydać czem jest, inaczej zamknęłaby sobie na zawsze przystęp do ojca. Stróż stanął w końcu korytarza przy oknie w grubym murze będącem, zamkniętemi żelaznemi drzwiczkami, otworzyła je, a Róża ciekawie spojrzawszy, spostrzegła mężczyznę z rozczochranemi włosami, zarosłego z dzikiem wejrzeniem.

— To był niegdyś — rzekł stróż — dzielny rycerz; ale szulerstwo i pijaństwo zrobiły go rozbójnikiem. Nie można było udać się bezpiecznie w podróż, bo on zawalał drogi i obdzierał tych, co mieli nieszczęście wpaść w jego ręce. Bujał długo, aż nam się udało schwytać pana brata. Nie chciałbym ja być uczestnikiem zapłaty, jaka go czeka, podał mu jedzenie i zamknął drzwiczki.

Poczem przystąpił do drugiego okienka, otworzył, a wsuwając żywność, spostrzegła Róża niewiastę wybladłą z wklęsłemi policzkami, dużemi oczyma dźwigającą ciężkie kajdany. Gdy zamknął otwór, rzekł dozorca:

— Była to kiedyś piękna jak anioł dziewczyna, szkoda tylko, że nie zachowała czystości anielskiej. Podała się bałamuctwom, rozwiązłości, teraz cięży na niej podejrzenie o dzieciobójstwo. Jeżeli się to podejrzenie udowodni, zostanie mieczem ścięta. Rozpacz przywodzi ją czasami do szaleństwa. Nie otwierajże jej drzwi, boby cię mogła skrzywdzić i uciec.

— Do tego to możemy wejść, jest to człowiek dobry, łagodny, pobożny, jak uistniona cierpliwość! nazywa się Edelbert z Tanenberga, dzielny rycerz i znakomity pan. — A cóż ci się to zrobiło? No, no, to cię pewnie to wilgotne powietrze owiało, gdym drzwi roztworzył.

— Ej to nic, trochę mi się noga poślizgnęła, po tym oto kamieniu wilgotnym, — rzekła Róża, której żal o mało nie powalił o ziemię, gdy spostrzegła ojca wybladłego, wynędzniałego.

Siedział na ławce kamiennej, przykuty do ściany długim łańcuchem, wsparty lewą ręką na stole z drzewa, na którym stał dzbanek z wodą, a przy nim kawałek czarnego chleba, prawą podał dozorcy i uprzejmie go powitał. Więzienie jego było dosyć obszerne, że mógł się w potrzebie przechadzać, miało w górze małe okienko, które po części było zasypane gruzem, a po części osłonione zielskiem; łóżko z trochą barłogu i wełnianym kocem do przykrycia, ściany czarne i wilgocią pokryte jak zwyczajnie w sklepieniach.

— Rycerzu! — odezwał się dozorca, — ponieważ ja jutro w interesie mego pana wyjeżdżam, przeto ci moja oto służebna służyć będzie.

Edelbert spojrzał na cokolwiek opodal stojącą Różę, wspartą na drzwiach więzienia, popatrzył się na nią, ale jej nie poznał; wszakże wspomniał sobie swoją córkę i rzekł do dozorcy:

— Właśnie tego wzrostu i wieku jest moja córka, jeżeli jej tylko gdzie zgryzota nie zadławiła. Jakże, kochany dozorco, jeszcze się nic o niej nie dowiedziałeś? Tyle razy cię już ze łzami prosiłem, żebyś mi też coś o niej powiedział, a przecież zawsze milczysz, pewnie to będzie zły znak!

— Ach nie! ja milczę, bo w żaden sposób, mimo usiłowań, nic się o niej dowiedzieć nie mogę. Zginęła, jakby kamień w wodę wrzucił.

Po zamkach tobie niegdyś przyjaznych dowiadywałem się, ale i tam nic o niej nie wiedzą.

— Takci to bywa na świecie; póki byłem sobie panem, przymilali mi się niżsi, oświadczali się z usługami równi, wyżsi nawet, przez wzgląd na położenie, w jakiem byłem u księcia i cesarza, dobijali się o względy, ale gdy pierzchła ta pozłota światowa, bo ją Bóg zdmuchnął, nie widzą we mnie żadnego powabu, i o dziecku mojem nie pamiętają. To lisi ludzie! Aleć Bóg wie co ja jestem, wie że go miłuję i służę mu! W Nim nadzieja, On mnie nie opuści i dziecko moje pewnie ukrył w bezpiecznem miejscu. Dajże to łaskawy Boże, żebym przed śmiercią miał tę słodką pociechę usłyszeć, że moja Róża służy Ci równie poczciwie, jak gorliwie, chętnie potem chcę umierać. O, nie uwierzysz, mój kochany dozorco, jakie to dobre dziecko było, ta moja Róża, jak wielce ona mnie miłowała, jak ona mi ochoczo służyła, z oczu umiała wyczytać moje życzenia i natychmiast je zadawalniała. Była to po Bogu moja jedyna pociecha; pewny jestem, iż gdziekolwiek jest, Bóg ją ma w swojej opiece. I ty, moje dziewczę, bądź taką dla twoich rodziców, jeżeli ci ich Bóg nie zabrał, a na tem wyjdziesz najlepiej.

Róża, którą dotąd zajął przerażający widok położenia ojca; w czasie jego mowy tak miała ściśnione serce, że o mało nie poskoczyła do szyi jego, żeby go uściskać i pocieszyć przytomnością swoją, do której z tak wielką wzdychał czułością; ale szczęściem miala dosyć nad sobą mocy. Potok rzęsistych łez zalał jej oczy i twarz; jak wryta stała trzymając się drzwi silnie. Ta jej czułość nie uszła oczu Edelberta i tak do niej dalej mówił:

— Tobie zapewne niedawno zmarł ojciec lub matka, że tak rzewnie płaczesz?

Z łkaniem odrzekła:

— Matka moja już dawno umarła, ojciec żyje, ale mu bardzo źle idzie.

— Niechże się Bóg nad nim zmiłuje! Masz, widzę moje dziecię, bardzo czułe serce; niechże cię Bóg broni od zepsucia!

— To prawda, — rzekł dozorca do Róży, — jesteś zanadto tkliwą! Nie płacz, bo inaczej nie będę ci mógł powierzyć zastępstwa. — Zresztą mój panie, jest to jedyne dziewczę. Pobożna, pracowita, do wszystkiego chętna, że o zakład tak dobrej nie znalazłbyś w okolicy. A jak ona moje dzieci dojrzy i co im dobrego czyni, tego moja żona przechwalić nie może. Gdyby moja mała Berta stała się jej podobną, na gołych kolanach dziękowałbym Bogu.

Edelbert spojrzał na Różę z nieopisaną czułością i mówił:

— Niech cię Bóg błogosławi, moja córko! Bądź zawsze tak pobożną i cnotliwą, módl się z ufnością do Boga, zapewne On twemu ojcu ulży, i będzie miał z ciebie pociechę.

— Daj to Boże! — odrzekła Róża, całując rękę Edelberta, którą skropiła łzami.

Dobrze, że stróż zabierał się i wołał na Różę, żeby się pospieszała do powrotu, inaczej możeby przedwcześnie odkryło się było czem jest. Wyszła więc, sama nie wiedząc jak z więzienia, postępując za dozorcą była przymuszoną opierać się o ścianę, żeby nie upaść, tak ją ta scena zmęczyła.

ROZDZIAŁ XI.

Róża daje się poznać ojcu swemu.



Róża przepędziła wieczór bardzo smutnie. Wybladła i wynędzniała postać ojca, stała jej przed oczyma, a jego nędza przeszywała boleśnie jej ducha; sama tylko nadzieja przyniesienia mu jakiejkolwiek ulgi, wzmacniała ją cokolwiek. Skoro po skończonej dziennej swej pracy weszła do swojej komorki, padła na kolana i prosiła serdecznie Boga, żeby gdy dotąd przedsięwzięciu jej błogosławić raczył, wspierał ją łaskawie i nadal, a jej biednemu ojcu ulżył i z niewoli onegoż wyswobodził. Poczem udała się na spoczynek, lecz próżno zamykała swe oczy, sen dopiero się znalazł, gdy północ była już blizką.

Po pierwszej z północy obudziła się dozorczyna, ażeby mającemu o drugiej odjeżdżać mę-

żowi zgotowała śniadanie. Wstała, wykonała rozkaz, dozorca zjadł, pochwalił Różę, obiecał przywieźć podarunek, gdy się dobrze sprawi z danego sobie polecenia, wsiadł na koń i udał się w drogę. Most dla jego przejazdu spuszczony podniesiono, klucze od bramy zaniesiono do zamku, a pani udała się na spoczynek, kazawszy Róży podobnież uczynić.

Lecz Róża miała coś innego na myśli. — Gdy się wszystko uspokoiło i dozorczyna twardo zasnęła, weszła cichutko do izby, odwiązała z pęka kluczy ten co otwierał więzienie ojca, bo go sobie poprzednio oznaczyła, zapaliła lampkę, wstawiła w ciemną latarnię, przykryła ją fartuchem, a zezuwszy trzewiki cichaczem szła przez posępny korytarz, do więzienia lubego swego ojca. Otworzyła cichutko drzwi, odsłoniła latarnię, a oto Edelbert siedział z założonemi rękoma na kamieniu przy stole. Zadziwił się nie mało, gdy przy słabem świetle poznał wczorajszą służebną.



— Czy się nie mylę, czyś to ty dobre dziewczę? Cóż cię tu prowadzi tak późno w noc, czyli raczej tak rano? Przed kilku chwilami stróż zwiastował drugą godzinę.

— Daruj, szanowny rycerzu, jeżeli ci przeszkadzam, lubo widzę, że czuwasz podobnie jak ja. Mnie gwałtownie coś popędza do ciebie, radabym z tobą mówić sam na sam, i dla tego obrałam niniejszą porę.

— Ale moje dziecko, ta pora jest niebezpieczna, twoje odwiedziny mogą ci sprawić jaką nieprzyjemność. A choćby i nie to, takie dziewczę jak ty, nie powinno w czasie nocnym nogi za próg przełożyć, owszem drzwiczki swego pomieszkania silniej, jak moje więzienie zawrzeć.

— Bądź w tej mierze bez trosków, w zamku wszystko prócz stróża i koguta, głębokim snem uśpione. Nie bez rozwagi i modlitwy uczyniłam ten krok, wiem, że Bóg jest ze mną. Parę słów tylko jest mi konieczna mówić z tobą, ile że twój kłopot o córkę tak mi serce ściska, iż spać nie mogę; przychodzę dać ci o niej wiadomość.

— O mojej Róży? O mój Boże, jeżeli tak jest, przyjmę cię lube dziecko, jak anioła Bożego, który nawiedza moje więzienie! Mówże, powiedzże... znasz ją?... jestże zdrowa?... Mówże!... ale czy tylko co pewnego wiesz o niej?

— Niewątpliwe wiadomości niosę. Oto, znasz szanowny rycerzu ten łańcuch złoty i ten medalion?

— Ojcze przedwieczny, a wszak ci to ten sam upominek, który jej oddałem w chwili naszego bolesnego pożegnania. Przykazałem jej, żeby tego drogiego upominku nikomu nie powierzała. Kochana córko, ty musisz z nią stać w wielkiej zażyłości, że go rękom twoim powierzyła w tym celu, żebyś u mnie znalazła wiarę, a wiadomości, które mi niesiesz, są pewno bardzo wielkiej wagi.

— O nie! Róża tego medalionu nie wydała nigdy z rąk swoich. Ojcze drogi! Spojrzyj, a wszakci ja jestem twoją córką!

— Ty? O nieomamiajże mnie! Moja córka, jak samo jej imię zwiastuje, była kwitnącą różą, a ty... o nie, ty nie możesz być moją córką!

— Zanim Róża udała się do ojca, obmyła starannie twarz swoję z owej farby, którą się za poradą Burcharda zamaskowała; dobywa światła z latarni i prosi ojca, żeby się raczył przypatrzeć i poznać swą córkę.

Edelbert spojrzawszy i poznawszy swą córkę, z największem rozczuleniem zawołał:

— Dziecko najmilsze! Różo kochana! a ty tu co robisz? Pójdź w objęcia moje! Gdy ciebie mam przy sobie, czerpam w dobroci Boga najmilszą pociechę. Niechby teraz mury te starożytne groziły mi zdruzgotaniem, ja na to mało już uważam.

Objął ją rękoma i przycisnął do serca swego. Róża zaś nie była zdolna słowa przemówić.

Gdy się ta tkliwość zobopólna trochę uspokoiła, odezwał się ojciec:

— Córko kochana! powiedzże mi jakim sposobem się tu dostałaś do tego nam nieprzyjaznego domu? Odkryj mi tę tajemnicę. Jakiż zawistny los tak nizko powalił moją córkę, że aż się stała służebną sługi zamku tego!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

RARAS i SZCZOTEK.

(Dokończenie.)

Chłop miał parę koni tak lichych, że ledwo się na nogach trzymały.

— Gospodarzu, rzekł dnia jednego do niego parobek, — czy w miejsce tych szkap nie kupicie sobie lepszych koni?

— Dla czegóż nie? — odrzekł chłop — lecz za co?

— To moja rzecz! powiedział parobek. Chłop zezwolił na wszystko, a parobek poszedł i zabiwszy owe konie stare, odarł je, skóry zaś wziął na ramię i udał się do gościńca. Gdy tam wieczorem przybył, pełno było hałasu; na długim stole w izbie zadymionej paliła się świeca i wiele pełnych i próżnych stało kieliszków. Przy jednym siedział garbarz miejscowy.

Kupcie te skóry! — odezwał się parobek do garbarza.

— Chętnie bym je kupił, lecz nie mam przy sobie pieniędzy, — rzekł grabarz.

— Pójdę z wami do domu, to je kupicie, mówił parobek.

Garbarz zabrał się i poszedł.

Tenże garbarz miał ładną żonę, a gdy go wieczorami nie było w domu, zwykł ją był wieczorami odwiedzać ekonom; garbarka piekła mu kurczęta, o czem się ani śniło garbarzowi. Dziś właśnie ekonom znowu u niej siedział, gdy garbarz u bramy zapukał.

— Kto tam?

— To ja — otwórz!

Garbarka przelękła się. Przebóg — to mój mąż! Ekonom wskoczył w starą próżną szafę, garbarka zamknęła ją, wyjęła klucz, wstawiła kurczę w piec i poszła otworzyć. Garbarz wszedł i obejrzał skóry.

— Jakaż cena?

— Dajcie mi za nie tę szafę starą!

— Skoro wam się tak podoba — weźcie.

— Bój się Boga, mężu, — zawołała garbarka, — nie dawaj tej starej szafy! Jest to po nieboszczce babce pamiątka, z którą błogosławieństwo wyniesie się z naszego domu.

— Bądźże cicho! — krzyknął garbarz rozgniewany. — Nie rób hałasu o ten stary grat.

Parobek wziął sobie szafę i niosąc ją ku domowi, zatrzymał się z nią na moście przy młynie. Koła młyńskie klekotały, woda szumiała pod upustem. Parobek postawił szafę na poręczy i rzekł:

— Nie ręczę za to, czy cię dalej poniosę. — Potem zakołatał w szafę i zapytał:

— Braciszku! umiesz ty pływać?

Ekonom w szafie począł prosić, żeby go wypuścił, obiecując mu sto dukatów.

— Dawaj! — rzekł parobek i otworzył szafę, a ekonom wyliczył mu dukaty na kapeluszu.

— Podziękuj Bogu, żeś tak tanio z tej sprawy wyszedł — mówił parobek, zgarniając pieniądze. Inną razą nie właź w obce szafy, bo mogłoby cię co gorszego spotkać. Ekonom zaprzysiągł się, że póki żyć będzie, już noga jego w domu garbarza nie postoi. Parobek wziął szafę, odniósł ją do garbarza i rzekł:

— Nie chcąc żonie serca ranić, odnoszę szafę. Zapłaćcie mi pieniędzmi, lub zwróćcie mi skóry!

Garbarz umówił z nim cenę i poszedł do komory po pieniądze.

— Szafa już próżna, — djabli go wzięli! — szepnął parobek garbarce.

— Na miłość Bozką! nie zrobiliście mu krzywdy?

— Nie zrobiłem, lecz wam się dam we znaki, — rzekł parobek, jeźli raz jeszcze zamkniecie szafę przed mężem!

Tymczasem wrócił garbarz z komory i naliczył pieniądze na stole.

— Wyborną zaiste macie żonę, — mówił

do niego parobek. Radziłbym wam nie chodzić do gościńca, lecz siedzieć w domu; upiekłaby wam nieraz kurczątko. Dziś oto upiekła, a boi się, żebyście się nie gniewali.

— A dla czegożbym się miał gniewać! — mruknął garbarz.

— A więc idźcie i przynieście mu to kurczątko z pieca!

Garbarka musiała pójść i przynieść kurczę dla ekonoma upieczone. Garbarz się cieszył, że go żona tak kochała i przedsięwziął już więcej do gościńca nie chodzić, a garbarka uradowana, że tak dobrze z obrotów wyszła, zaprzysięgła się, że bez wiedzy męża już dla nikogo kurcząt piec nie będzie.

W taki to sposób Raraś postarał się chłopu o pieniądze, za które tenże sobie kupił konie młode i gospodarstwo swoje doskonale urządziwszy, już żadnego nie doznał niedostatku, póki miał tego parobka. Przebiernym nie będąc, jadał Raraś wszystko, co mu dawano. Grochu tylko okrągłego jeść nie chciał, a to dla tego, że na każdem ziarnku jest kielich.

(Koniec.)

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

I.

Miasteczko i Rodzina.

Nasza Wisła ukochana, to rzeka nad rzekami. Bo choć woda niby wodzie równa, choć fala pędzi za falą po Wiśle, jak po innych rzekach, zawsze wielkością jak królowa nad wszystkiemi panuje rzekami w polskiej krainie.

Jakoż przy niej, jak przy matce, wiele a wiele wiosek, dworków, miast i miasteczek osiadło, a ona je hojnie karmi i przyodziewa. Z niej rybak wydobywa tłuste ryby, po niej flis spławia zboża do Gdańska, kupiec spuszcza przeróżne towary; po niej płynie drzewo budulcowe, po niej nabiał, i to wszystko co się w naszym kraju rodzi. Bo też jak to mówią, dał Bóg Polsce wszystko czego trzeba: żyto na chleb, len na płótno, owce na sukna, stada do koni, kruszce do broni. Wszystko to płynie Wisłą w kraje obce i dalekie, gdzie takiego dostatku nie ma, a za to dostajemy pieniądze, wyroby fabryczne i inne potrzebne rzeczy. Tak to dobra nasza Wisła ożywia całą poblizką siebie okolicę, zatrudnia poblizkich mieszkańców, uczy ich pracować i chwalić Boga.

Otóż nad samą rzeką leżało małe ale schludne miasteczko Góra. Zasiadło ono sobie między ogrodami, rolami i łąkami; rozłożyło się na pagóreczku białe i świecące, jakby chciało wygodnie się przeglądać w ślicznej wodzie, jakby chciało z daleka przybywających flisaków albo witać życzeniem dalszej szczęśliwej drogi, albo

przyjmować przybijających do brzegu i gościć tem, czem bogate.

To też i chętnie stawały w Górze szkuty i czajki; można tu było wygodnie wypocząć, uczciwie zabawić się i wesoło puścić w dalszą drogę. Gospodarze byli sobie od dziada pradziada poczciwi Polacy; gościnność i rzetelność były u nich świętemi cnotami; a chociaż nie podejmowali za darmo, to jednak nie zdzierali z przybywających, jak to mówią, ostatniej koszuli, ale rzetelnie i sumiennie żywność i napoje sprzedawali, tak że był wilk syty i koza cała. W tem to miasteczku między innymi gospodarzami mieszkał i Stefan Berdysz. Miał on nad samą rzeką porządny dom i zabudowania gospodarcze. Dom jego, gontami pobity, z białym kominem, z dużemi a świecącemi oknami, zbudowany był na wysokim brzegu, spuszczającym się zwolna aż do Wisły — otoczony parkanem z bramą i uliczką.

Wszedłszy na dziedziniec, spostrzegłeś na samym środku gołębnik, z którego dolatywało twoich uszu lube gruchanie gołąbków; — przed drzwiami wchodowemi ganek na czterech słupach z ławkami do siedzenia; dalej po lewej stronie stały studnia i wozownia, po prawej zasieka, a wszystko tak czyste, tak chędogie, jakby dziś pobudowano. Zielona murawa rozściełała się po całym dziedzińcu, zostawiając tylko dla wozów drogę naokoło wolną. — Za domem był ogród podzielony na dwie części. Tuż przy domu był sad wielkich owocowych drzew; tu najszlachetniejsze stały jabłonie i grusze, ówdzie śliwy, dalej wiśnie i czereśnie. Druga część ogrodu za sadem służyła za ogród warzywny, zajmowały go to grzędy kapusty i marchwi, to bób, groch i fasola, to ziemniaki czyli perki, to pstry mak, to ogórki, — tak że ani piędź ziemi nie próżnowała, ale wszystko było obsiane i obsadzone.

W sadzie pod samym domem było jeszcze jedno miejsce — nad wszystkie najpiękniejsze. Była to altanka. Ale jaka? Nie z desek przez cieślę zbudowana, nie z chróstu pleciona, nie powojem obrosła — o nie! była to wielka, szeroka altana, którą tworzyły cztery staruchny, to jest cztery lipy rozsochate, co razem może miały z jakie lat tysiąc, a konary tak wielkie, jakby całe drzewa, a roztaczały je tak szeroko i dawały tak miły cień, toż podczas kwitnienia taką woń cudowną, że aż miło było oddychać. Zaprawdę, tylko sam Bóg takie altany stawiać może, nadając naszym lipom taki wzrost wspaniały, liść tak gęsty i woń tak lubą. Pod temi lipami stał stół wielki, okrągły, a w koło niego były kanapki z darni. Tu podczas skwaru słonecznego siadali mieszkańcy domu, tu przyjmowali często znajomych i sąsiadów; tu nawet podczas deszczu pod gęstą zasłoną lipowych liści, jak pod dachem pracowali, rozmawiali modlili się.

Na najstarszej lipie zwanej prababką, na sążeń od ziemi znajdował się obraz Matki Bozkiej Częstochowskiej w prostych czarnych ramkach, zawieszony jeszcze przez dziada Stefanowego; przed obrazem co sobota gorzała lampka. Pod nim w pniu, gdybyś się dobrze przypatrzył, ujrzałbyś małe zagłębienie, a raczej dziurę.

W tej dziurze ugrzęzła była kula szwedzka, która miała odebrać życie dziadkowi, wystrzelona przez rozjuszonego Szweda, któremu w plądrowaniu opór stawiał dzielny Bartłomiej Berdysz. Na tę to pamiątkę ocalenia swego życia założył on na wieczne czasy skromny ten ołtarzyk.

Za lipami o kilka kroków na uboczu był grób. Płyt kamienny z krótkim napisem i z rokiem 1656 przykrywał zwłoki jakieś. Spoczywał pod nią właśnie ów Szwed — powalony przez Bartłomieja ostrym berdyszem.

Pan Stefan, obecny dziedzic, mężczyzna w sile wieku, był sobie, jak mówiono, nieco rubasznym, często zamyślonym, jednakże wszyscy go kochali, czcili i poważali, rad jego słuchali i na jego sąd się zdawali. Powierzchowność jego nie bardzo była miła, bo mimo wysokiego, białego czoła, niebieskich jasnych oczu i pięknych czarnych długich włosów, sumiastego wąsa — miał on na ogorzałej twarzy głęboką i długą bliznę od ucha lewego aż do ust, która nadawała mu wyraz groźny i wojowniczy. Wzrostu więcej niż średniego, barczysty i żylasty, chodził zwykle trochę pochyło, a tylko wtedy, gdy coś niezwykłego usłyszał, prostował się.

O tej kresie na twarzy pana Stefana różni różnie mówili, lecz bliżsi jego znajomi i starsi powtarzali sobie następujący przypadek:

Kiedy pan Stefan był młodym, ot tak przed trzydziestu laty, a był on jedynakiem u swoich rodziców, ojciec jego i matka spostrzegli, że od pewnego czasu nagle stał się tajemniczym, za-

myślonym. krył się przed matką wypytującą się o przyczynę. Aż jednego ranka, gdy rodzice się zbudzili i zajrzeli do jego alkierza, nie znaleźli syna, a pościel była nietknięta. Przepadł gdzieś i długo nie powracał. Matka płakała, ojciec szukał, dopytywał się, lecz niczego się nie dowiedział. Spostrzegł tylko, że mu jednej kosy brakło. Zadumał się, łza mu się zakręciła w oczach, westchnął, przyszedł do żony i rzekł:

— Wiem już teraz, gdzie nasz Stefan! — i długo coś szeptali oboje, a potem oboje uklękli i modlili się.

Minął rok z górą, a Stefana nie było.

Aż razu jednego, gdy oboje późno wieczorem siedzieli sobie zadumani, zapukał ktoś do drzwi i wszedł — Stefan. Zerwali się rodzice, poskoczyli ku niemu, on im padł do nóg i zawołał:

— Przebaczcie mi, kochani rodzice!

Ojciec go podniósł, uściskał, a ujrzawszy na jego mężnej twarzy ogromną kresę, uścisnął go powtórnie i kresę tę długo, długo całował; i matka potem ze łzami tę bliznę całowała.

A dziś po śmierci rodziców żona jego nieraz tę ranę całuje, jakby jaką świętą pamiątkę. A domyślacie się też, zkąd była ta blizna i czemu ją tak całowano.

Odtąd Stefan nie wydalał się z domu; czasem tylko, a było tego raz do roku, bywał w Warszawie po sprawunkach dla rodziców, lecz zawsze ztamtąd smutny i rzewny powracał, bo jakieś okropne rzeczy tam sobie przypominał; więc też i rodzice nie nastawali na niego, by tam chodził. Osiadł tedy przy rodzicach i dopomagał im w gospodarstwie. Ojciec jego i matka mając syna jedynaka, radziby byli widzieli, żeby się ożenił i gospodarstwo objął. A choć mu tego wyraźnie nie mówili, zrozumiał Stefan ich myśli. Obejrzał się tedy po dziewczętach i najlepiej mu się spodobała Zofia Hrubieszówna, córka tamecznego gospodarza, bo była pobożna, cnotliwa, cicha, gospodarna i kochała swoich rodziców. Może być, że i dla imienia swego Hrubieszówna podobała się Berdyszom, gdyż Stefan na św. Zofią w Maju był powrócił do rodziców.

Pewnego razu, a było to na święty Jan Chrzciciel, całe miasteczko wieczorem wysypało się nad Wisłę, mężczyźni i niewiasty, starcy i młodzi, i gwarzyło to wszystko, śmiało się i radowało.

Łódki i większe czajki, napełnione młodzieńcami i dziewczętami, odbijały od brzegu. Ustawiwszy się szeregiem w poprzek rzeki, młodzież zanuciła pieśń jaką starą i znaną; w tej chwili spadły na rzękę tysiące wieńców, a na każdym wieńcu gorzało światełko.

Cudowny to był widok; zdawało się jakoby Wisła się paliła jakoby się przemieniła w ogród najpowabniejszych kwiatów. I płynął ten ogród i płynął, a każdego oko ścigało swój wieniec.

Na jednej z tych czajek czyli łodzi stał Stefan z Zofią; i oni puścili po wieńcu na wodę i patrzeli na nie. Wieńce ich jak inne płynęły z początku jeden od drugiego oddalone, później jakby ręką cudowną pchnięte zbliżały się i zbliżały, aż się wreszcie zetknęły, a dwie ich świece zapłonęły w tej chwili wielkim płomieniem, że wszystkich oczy na się wróciły. — Była to dobra wróżba.

Jeszcze do późna w noc trwały te narodowe zabawy, śpiewy i opowiadania; potem wszyscy z różnemi myślami rozeszli się do domów.

W trzy tygodnie potem Zofia była żoną Stefana.

Rodzice oddali im całe gospodarstwo, a że Bóg im błogosławił, więc dobrze im się wiodło; mająteczek rósł i małe dziatki, które im Bóg dał, zdrowo, bogobojnie i uczciwie się chowały.

Przeszedł na koniec czas i na rodziców jego.

Z błogosławieństwem na ustach dla dzieci i wnuków opuścili tę ziemię. Bolał Stefan z żoną i dziećmi nad ich utratą, ale z wolą Boga się zgodziwszy, zaczął dalej pracować.

W Górze był kościołek, a przy nim szkółka.

Kościołek ten mały był wprawdzie, lecz murowany, blachą pobity, ubielony, a przy nim dzwonnica, zwołująca pobożnych chrześcian na ranne, południowe i wieczorne modlitwy. Przy kościołku była plebania. Proboszcz już w siódmym krzyżyku, z siwiejącym włosem, lecz czerstwy i raźny, prawdziwy sługa Boży, kochany był i w samem miasteczku i w okolicy jak ojciec. Bo też niejeden tak zbawienne odbierał od niego nauki, jakby z św. Ewangelii czytane; niejednego zatwardziałego grzesznika nawrócił,

niejedno małżeństwo pogodził: a tak jakoś od serca przemawiał do każdego, że zawsze do serca trafił, zawsze przekonał. Bo też zrodzony na tej ziemi, znał potrzeby swoich owieczek, wiedział o ich smutkach, troskach i boleściach. Więc też umiał pocieszyć, pogodzić i poradzić.

Otóż do tego księdza proboszcza, a nazywano go po imieniu księdzem Wojciechem, często udawał się Stefan po radę, kiedy mu chodziło o dobrą naukę i o wychowanie dzieci; bo też ks. Wojciech jemu i jego Zofii dawał ślub i ochrzcił im troje dziatek. Co święto tedy i co Niedziela po Mszy świętej Stefan zwykle chodził do plebanii, a pomówiwszy ze staruszkiem słów kilka, zasięgnąwszy jego rady, wracał wesoły i zbudowany do siebie. Nieraz i dziatki brał z sobą do niego, a za każdą razą uradowane wracały do księdza Wojciecha — a w domu matce opowiadały, jak to ksiądz proboszcz je pogłaskał i pochwalił za pilną naukę, jak to piękne obrazki lub książeczki im darował.

Nawzajem i Stefana ksiądz proboszcz wysoko sobie cenił za to, że rządził się dobrze, żył sobie poczciwie, a nawet ufundował na pamiątkę szczęśliwego swego powrotu z wojny ołtarz z obrazem świętego Szczepana, swego patrona.

Była też w Górze szkoła, którą sami mieszczanie własnym kosztem wybudowali i utrzymywali; a przy tej szkółce był nauczyciel polecony im przez księdza Wojciecha, którego także sami utrzymywali. Bo mówili sobie, że człowiek nie na to tylko stworzony, aby jadł, pił i spał jak bydlę, ale aby się uczył i Boga chwalił i z ludźmi żył; więc też nie żałowali kosztów na to, aby dzieci ich w miejscu dobrą mogły naukę pobierać.

Nauczyciel, człowiek już w wieku statecznym, lecz młodszy od księdza Wojciecha, wypełniał tak swoje obowiązki, że każdy mógł widzieć, iż nauczanie i wychowanie dzieci było jego najulubieńszem zatrudnieniem. To też i rodzice i dzieci kochali go jak ojca. Często widziano go, jak otoczony ciekawą dziatwą na przechadzkach opowiadał jej różne a różne dzieje, a dzieci tak je sobie pamiętały, jakby ich się z książki były uczyły. I mówiono, że na tych przechadzkach wiele a wiele rzeczy pożytecznych nauczał: opowiadał chłopaczkom o Ojczyźnie, o przodkach, o wojnach, które nasz naród staczał z wrogami, o naszych dzielnych rycerzach bohaterach; pokazywał i kamienie, muszki, chrząszcze i motyle, powiadał, jak się wszystkie zowią i na co się przydadzą; a kiedy przechadzka pociągnęła się czasem aż do wieczora, to im opowiadał dziwne rzeczy o tych świecących gwiazdach, co je Bóg wszechmogący na niebie osadził. I któżby takiego człowieka nie kochał? któżby takiego nauczyciela nie uwielbiał?

Między wszystkimi chłopcami, co u niego pobierali naukę, jeden był najciekawszy i najchętliwszy do nauki, najwięcej się wypytywał i najlepiej wszystko pamiętał. A był to Kazimierz Berdysz, syn starszy Stefana. Dzielny to był chłopaczek aż miło spojrzeć na niego; czapeczka na bakier, żupanik paskiem ściśnięty, szarawarki szerokie, buciki fałdziste, twarz rumiana, oczy jasne, błękitne, włos czarny, długi, — istny obraz ojca; brakło mu tylko owej kresy przez twarz.... Lecz któż wie, do czego jeszcze Opatrzność Bozka go przeznaczyła!?

Takie to było to miasteczko Góra, tacy w niem mieszkańcy, taki pan Stefan i jego rodzina, taki ksiądz Wojciech i nauczyciel.

Ale cóż? Czas nie stoi, lecz szybko się toczy; jedni się starzeją, inni podrastają, a wszystko się przemienia. Zobaczymy więc teraz, co się dalej z naszymi znajomymi działo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

PERYOD II.

ODKRYCIE AMERYKI.

ROZDZIAŁ I.

Podróże Skandynawów i odkrycie.

Do kwestyj, o których nie ma pewnej wiadomości, należy niezawodnie tradycya czyli podanie, że Ameryka została odkryta przez żeglarzy północnych 500 lat przedtem, nim Columbus opuścił port Palos w Hiszpanii, aby odkryć nową drogę do Indyi. Irlandczycy mają podanie, że w dawniejszych, bajecznych prawie czasach odkryto kraj leżący na południowym zachodzie Greenlandyi. Badania w nowszych czasach okazały, że w istocie wybrzeże dzisiejszej Nowej Anglii zostało odwiedzone 500 lat przed Columbem i że żeglarze ze Skandynawii usiłowali tam zakładać kolonie.

Żeglarze z północy Europy byli znani ze swej odwagi i wytrwałości; w r. 860 odkryli Irlandyę, a w r. 890 Greenlandyę; na dwóch tych wyspach założyli kolonie i koloniści tych wysp prowadzili już w r. 950 znaczny handel z pobratymczymi Duńczykami i Norwegczykami.

Kronika pewna islandzka powiada, że w roku 1002 wyjechał Lief, kapitan norwegskiego statku z Irlandyi do Greenlandyi, lecz wiatr zapędził go do półwyspu Labrador, zkąd Lief udał się jeszcze bardziej na południe i znalazł kraj, gdzie był klimat łagodny i rosło wino — niezawodnie w okolicy dzisiejszego Bostonu. Inni Skandynawi podjęli także podróż do odkrytego kraju i mieli się zapędzić nawet aż do Rhode Island, gdzie założyli kilka osad. Są to jednakowoż tylko domysły, gdyż po owych osadach nie zostało ani śladu, wyjąwszy może okrągłej wieży w pobliżu Newport w stanie Rhode Island, która podobno przez Normanów wybudowaną została.

Peryod tego odkrycia należy do czasów starożytnych, kiedy jeszcze cała Europa była pogrążona w ciemnościach nieświadomości; i jeżeli w istocie Normani odkryli Amerykę przed 1100 laty, to jednak nie wiedziano w starym świecie o tem nic wtenczas, kiedy Columbus powziął myśl udania się na zachód.

ROZDZIAŁ II.

Podróże i odkrycia hiszpańskie.

W początkach piętnastego wieku obudziła się nareszcie Europa z długoletniego snu, a zwłaszcza narody: Francya, Hiszpania, i Portugalia, z niesłychaną gorliwością poczęły zajmować się nowemi odkryciami na morzu, a to z przyczyny tej, iż się spodziewały wielkich korzyści i handlu z krajami zamorskiemi. Handel z bogatym Wschodem skupił się w Rzymie, póki państwo rzymskie było potężnem, lecz gdy się rozpadło, pojedyńcze miasta włoskie prowadziły handel ten dalej. Państwa powstałe z pojedyńczych prowincyj poczęły zazdrościć owym miastom, które się przez handel tak niezmiernie bogaciły. Kastilia i Portugalia zwłaszcza usiłowały utworzyć sobie prostą drogę do Indyi, lecz mogły to tylko na morzu uczynić. Tymczasem stawiała im wiele przeszkód nieświadomość jeograficzna; lud mniemał iż po za przylądkiem Bajadwo nad wybrzeżem afrykańskiem znajduje się morze z ognia, lecz Henryk, książę portugalski, na czele odważnych żeglarzy przebył wnet tę tak obawianą przestrzeń; przepłynęli strefę gorącą, okrążyli południowy przylądek Afryki i odkryli w ten sposób drogę do Wschodnich Indyj.

Na dworze portugalskim poczęli się potem zgromadzać ludzie uczeni i awanturnicy; pomiędzy innymi zgłosił się tam także Krysztof Columbus, syn szczotkarza wełny w Genui we Włoszech, żeglarz pierwszorzędny i dość słynny, a w kwiecie wieku będący. Zasady geometryi, której się nauczył na uniwersytecie w Padua, przyczyniły się u niego do powzięcia wielkiej teoryi, a dla przeprowadzenia jej do skutku udał się do Lizbony.

(Dalszy ciąg nastąpi.)